Świat powieściowy.

Nr. 143 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Zaklęty i Odczarowany

(Ciąg dalszy.)

Słowa te sprawiły wrażenie piorunujące, stokroć gorsze jeszcze niż Paweł przewidywał. Rajmund milczał dotąd, oczy jego atoli ciskały błyskawice, te oczy zwykle zamglone, rozmarzone, zagadkowe, które raczej osłaniały, niżby miały zdradzić głąb duszy i wypowiedzieć myśli tajemnicę. W tej chwili mgła się rozwiała, błysk przelotny rozjaśnił ciemności, strzelił niby iskra z krateru wulkanu dawno zastygłego i uderzył w Pawła spojrzeniem pełnem namiętnej nienawiści.

— Więc i tyś uległ temu urokowi? — odezwał się wreszcie tonem dziwnie syczącym. — Strzeż się Pawle tej kobiety, która na pozór tak czarownie wygląda! Wykształciła się w szkole Jerzego Wilmuta, w obojgu jedna krew płynie, oboje potrafią być nieubłagani, bez miłosierdzia, tak dla innych, jak i dla samych siebie! Tam gdzieś się serca spodziewał, natrafisz na lodowiec, od którego daremnie odbijają się promienie słońca... promienie miłości!... Przekonasz się! przekonasz!...

Paweł był uderzony temi słowami. W głębi serca musiał im słuszność przyznać. Czyż i jego nie zmroziła na statku ta piękna, ale tak nielitościwie zimna czarodziejka? Właśnie z powodu, iż uznawał prawdę w tym zarzucie, zaprotestował tem energiczniej, krusząc kopię na cześć bogdanki ukochanej.

— Nie znasz wcale Anny Hertenstein, unosisz się jedynie przesądem i niechęcią dla całej tej rodziny. Obawiałem się tego, odkrywszy nienawiść dzielącą ciebie z Wilmutem. Cóż jednak miłość moja gorąca, ma wspólnego z waszemi nieprzyjaznemi uczuciami? Ty nie kochasz Rajmundzie, możeś nigdy w życiu nie kochał, inaczej...

— Milcz! — krzyknął Rajmund, gniewem straszliwym wybuchając. — Jak śmiesz wynurzać się przedemną z namiętnością grzeszną, szaloną?! Ta kobieta jest przecież zamężną!

— Chroń Boże! Od roku przeszło jest wdową.

Rajmund zadrżał, ręka groźnie w górę podniesiona opadła bezsilnie, chwytając kurczowo za poręcz krzesła. Szukał widocznie podpory.

— Ah!... owdowiała?...

— Nic-że o tem nie wiedziałeś?

— Nie!... od lat wielu... nic nie słyszałem o... prezydencie Hertenstein.

— Gniewasz się?! — Paweł przemówił tonem przez pół błagalnym, przez pół rozdraźnionym. — Byłbym może lepiej uczynił nie przyznając się do niczego, sądziłem jednak, iż winien ci jestem spowiedź szczerą z uczuć moich.

Rajmund odwrócił się ku oknu.

— Zostaw mnie samego — rzekł krótko i szorstko. — Nie dobrze byłoby dla nas obydwóch, gdybyśmy dzisiaj dłużej z sobą rozmawiali... Idź sobie!

— Jak rozkażesz! — Paweł odrzucił dotknięty głęboko tonem pogardliwym, którym po raz pierwszy stryj do niego przemawiał. — Bardzo mi boleśnie, żem cię rozdraźnił mojem wyznaniem, uczciwość atoli i poczucie honoru tak mi nakazywało. Dobranoc!

Zmierzał ku drzwiom, gdy nagle zdawało się budzić w ordynacie poczucie wyrządzonej mu niesprawiedliwości, gdyż zawołał tonem łagodniejszym:

— Pawle!

Młody człowiek zatrzymał się i zwrócił ku niemu. Rajmund miał już na ustach słowa czulsze, słowa pojednania, gdy jednak ujrzał przed sobą, w pełnem świetle lampy, postać wyniosłą, dorodną, twarz noszącą te same co on rysy familijne, tylko o tyle młodszą, świeższą, oddychającą przeczuciem szczęścia, rozpromienioną błogą nadzieją, oczy mniej głębokie, mniej może od jego źrenic wyraziste, ale patrzące na świat wesoło i swobodnie, strzelił ten sam błysk z pod powiek na pół przymkniętych, uderzając w Pawła niby strzałą *Parta*, jadem śmiertelnym zatrutą. Zamiast słów pojednawczych, rzucił mu w oczy zjadliwem szyderstwem:

— Życzę ci szczęścia i powodzenia w ubieganiu się o rękę... jaśnie wielmożnej prezydentowej Hertenstein!

Paweł nie rzekł ani słowa, ukłonił się z daleka i wyszedł. Wszystka krew w nim jednak zakipiała, — to traktowanie oburzające, a tak niezasłużone! Pierw[szy] raz doświadczył na sobie owej gwałtowności chor[obli]wej, nieuzasadnionej, o której głuche wieści krążył[y], która dotąd ukrywała się przed nim pod maską lod[o]watej obojętności. Był więc punkt drażliwy w tym człowieku, w obec którego znikał spokój niewzruszony,

znikała oziembłość na wszystko i dla wszystkich, a tą iskrą galwanizującą trupa, wywołującą w nim życie sztuczne, była dzika, nieubłagana nienawiść! Rajmund z Wilmutem musieli żyć od wielu lat w srogiej nieprzyjaźni, której teraz chciał nawet miłość bratanka poświęcić. Obok gorzkiego uczucia zawisłości, obudziła się jednocześnie w Pawle i godność męska. Na wszystko przygotowany, postanowił bądź co bądź stoczyć walkę i wyjść z niej zwycięzcą.

Rajmund, gdy się samotnym obaczył, upadł na fotel obok kominka stojący i wpatrzył się w zgliszcza purpurowe. Rozdrażnienie gwałtowne widocznie już przeminęło. Siedział teraz pochylony z wyrazem znużenia śmiertelnego, oczy były zamglone, marzące, tylko usta dotąd kurcz wykrzywiał i drgały nerwowo, zdradzając uniesienie namiętne, które mu słowa ostatnie podyktowało.

Ogień gasł na kominie, a jednocześnie znikały i obrazy fantastyczne, które przed chwilą płomienie tworzyły. Głownie rozsypały się zwęglone, a i żar tracił barwę żółto-purpurową. Przez chwilę strzeliła jeszcze w górę iskra jaśniejsza, ukazał się tu i owdzie słaby płomyczek, powoli, powoli, wszystko zgasło, a w kominie leżała już tylko gruba warstwa szarego, zimnego popiołu.

VIII.

Zima w tym roku wcześnie w góry zawitała. Przyszła z całym orszakiem wichrów, śnieżnych zamieci, chmur szarych, i dni mglistych a mrozem krew ścinających. Paweł niemal po raz pierwszy w życiu miał sposobność, spotkać się i doświadczyć całej srogości tej pory roku, która w górach bywa częstokroć istną plagą ludzkości. Wydawał się sam sobie w pustem i ponurem Felseneck, jak więzień opasany w okół murami fortecznemi; rozpacz go brała w tej straszliwej, głuchej samotności; nawet nie mógł na pociechę wpatrywać się w Rosenberg, bo ile razy w tamtą stronę okiem rzucił, wzrok jego tonął w mgły gęstej morzu falującem.

I to Pawłowi tajnem nie było, iż u stryja popadł w zupełną niełaskę; nie widział się z nim wcale od ostatniej rozmowy. Rajmund siedział w swojej baszcie istotnie jak zaklęty, i zdawać się mogło, iż zapomniał nawet, że ma jakiegoś bratanka na świecie.

Wypogodziło się nareszcie, wicher dąć przestał, mgły się rozwiały i opadły, a słońce wypłynęło w całym majestacie na strop niebieski, oświetlając jaskrawo całą przyrodę, strojnie przybraną w śnieżną sukienkę, [illegible]paną szczodrze szronu brylantami.

[illegible]weł zwabiony pierwszemi słońca promieniami, [illegible]czemprędzej z więzienia, aby trochę po lesie [illegible] Przewiesił przez plecy dubeltówkę i torbę [illegible] aby polowaniem wyjście upozorować. Nie [illegible]dnak myślał, pragnął gorąco wydostać się na [illegible]oży z murów ponurego zamczyska, które go [illegible]atały, niby trumny wieko, swoim ogromem majestatycznym a pustym; chciał spotkać innych ludzi, mówiących i ruszających się swobodnie, nie tak jak nieznośna służba w Felseneck, marjonetki nakręcone na jedną modłę ręką ich pana wszechwładnego. Tam w dolinie leżało piękne, wesołe Werdenfels, tam było życie i szczęście, czyż jednak Rajmund o to pytał? czy tego potrzebował? On zabrał z sobą li uczucie srogiej, nieubłaganej nienawiści i uciekł do samotnego Felseneck, zrywając z ludźmi, zrywając z całym światem. Nie można dziwić się, iż w umyśle młodzieńca zaczęły gorzkie myśli wirować, gdy sobie wyobraził, jakby to inaczej mogło się wszystko obrócić na pociechę i błogosławieństwo dla innych i dla niego samego, skoro by on został panem na Werdenfelsie. Cóż z tego, że kiedyś ma tu być dziedzicem? Spadek majaczył mu w dalekiej przyszłości, niby ułudne *Fata-Morgana*, a tymczasem zależał zupełnie od łaski i kaprysu stryja, co dla niego było niesłychanie upokarzającem!

Las nie był tak śniegiem zawalony, jak się tego Paweł obawiał po kilkudniowej straszliwej zamieci. Śniegu było wszędzie zaledwie na stopę i to twardo zamarzniętego. Słońce coraz wyżej płynąc rzucało z góry jasne promienie i młody człowiek nie myślał o powrocie, idąc dalej i dalej. Był już blisko z milę od Felseneck, i wspinał się w górę po krętej ścieżce, która do leśniczówki prowadziła. Namyślał się właśnie, czyby nie odwidzieć owej pani leśniczyny, mimo jej lat pięćdziesięciu, i trochę u niej nie odpocząć, gdy spotkał się z wieśniakiem po tej samej ścieżce idącym.

Starzec mruknął używane w górach pozdrowienie: „Dopomóż Boże!“ skoro spostrzegł nieznajomego. Chrześciańskie tomatoli pozdrowienie wyszło z ust jego z trudnością, głosem stłumionym, a on sam dysząc ze zmęczenia, zaledwie zdołał się utrzymać na chwiejących nogach, za pomocą grubej laski, w żelazo okutej.

— Trudno to już w waszych latach ojcze — rzekł Paweł pozdrowiwszy grzecznie staruszka — drapać się po górach, nieprawdaż?

— Nie lata mi tak zaciężyły! — bąknął stary niechętnie. — Z niemi by się jeszcze człowiek uporał. Ale noga! ta mi w chodzie przeszkadza!

Paweł teraz dopiero spostrzegł, że starzec mocno na jedną nogę utyka. Była to postać krępa, przysadkowata i szeroka w ramionach. Mimo, iż wiek i praca znacznie ją przygarbiły, zdradzała we wszystkich członkach niezwykłą siłę muskularną. Włos gęsty, twardy i jak mleko biały, wymykał się z pod czapki zimowej, w twarzy zaś niby grubą korą brunatną powleczonej, wiek podeszły, a może więcej jeszcze troski i zgryzoty, zmarszczek na zmarszczku wyżłobiły. W starca fizjonomji nie było owego wyrazu apatycznego, który z często wywołuje ciężka praca fizyczna, usypiając wszelkie władze umysłowe, twarz jakby skamieniała z bolu wyrażała dziką energję, a wzrok ponury, który spoczął na nieznajomym młodzieńcu, był badawczy i podejrzliwy.

— Jesteście kaleką? — spytał Paweł tonem litości. — Wierzę, że wam droga tak stroma, wydaje się

wielce uciążliwą. Macie zapewne interes do leśniczego?

Stary potrząsł głową, ręką wyciągniętą wskazując lichy folwarczek, wysoko w górze zawieszony.

— Idę tam, do tej chaty.

— Tak wysoko? Zdołacież dostać się na sam szczyt prawie, z nogą kulawą?

— Wiele ten potrafi, kto musi, i komu córka jedyna umiera! Często u niej co prawda nie bywałem i dziś zapewne drapię się tam po raz ostatni... Pan doktor mówi, że już jej nie długo na tym świecie!

Wyraz boleści w rysach starca i łzy w źrenicach na wpół zamarłych, które zwolna wzdłuż policzków się stoczyły, wzbudziły w Pawle żywe współczucie. Zrazu rzucał słowa od niechcenia, teraz zbliżył się i serdeczniej przemówił:

— Więc Mattowa, gospodyni tego w górze obejścia, to wasza córka? Teraz nie dziwię się waszej wytrwałości, skoro, jak powiadacie, jest u was w dodatku jedynaczką...

— Ostatnią z czworga dzieci! Dwie młodsze siostry umarły w jednym tygodniu na szkarlatynę, a syn... bo miałem i syna jednego, jedynego.... zginął podczas pożaru w Werdenfels.

Słowa brzmiały głucho i na pozór spokojnie, ale zaostrzony koniec żelazny u laski, wrył się w śnieg głęboko, tak ciężko oparł się na niej starzec, wpatrując się uporczywie w ziemię, jakby szukał czegoś pod jej zmarzłą powierzchnią.

— Ten pożar nieszczęsny! — wykrzyknął Paweł.— Nie dawno o nim się dowiedziałem, i o całej niedoli, której stał się przyczyną. — A więc straciliście w nim syna?...

Wieśniak spojrzał znowu na młodzieńca długo i podejrzliwie, twarz atoli Pawła, młoda i otwarta, wyrażała tak szczere współczucie, iż stary nabrał widocznie do niego zaufania.

— Wszystko straciłem! — mówił dalej z goryczą.— Zgorzał mi dom, bydło i wszelki dobytek, poszła za tem dola i zdrowie, a w dodatku zginął i mój Toni.... Był właśnie w pańskim wieku, chłopak najprzystojniejszy i najpracowitszy z całej wsi! Kochałem go nad życie... oh! nadto kochałem!... Wszczął się ogień, właśnie na mojem obejściu. Chcieliśmy przynajmniej coś z bydła uratować.... Gdyśmy przybyli, stajenka stała już w płomieniach, aleśmy jednak skoczyli do środka. Naraz zatrzeszczało nam nad głowami. Toni pchnął mnię twarzą do ziemi i rzucił się, ciałem swojem ojca przykrywając. Budynek zwalił się na nas. Mnie wydobyto z gruzów z nogą złamaną, a mojego Toni najdroższego, z roztrzaskaną czaszką!...

Zdjął czapkę z głowy i zatopił ruchem kurczowym pięć palców w siwej czuprynie. Oczy krwią nabiegłe dziko błysnęły, a w rysach zwiędłych, pomarszczonych. czytało się nienawiść i chęć zemsty wyrytą głęboko.

— Od tej chwili — kończył głosem bez dźwięku — odstąpiło od nas błogosławieństwo boże, i w niczem się nie wiodło. Dom był nisko zabezpieczony, pieniądze wypłacone z towarzystwa asekuracyjnego, zaledwie na odbudowanie jakie takie wystarczyły. Jam odleżał rok blisko na nogę złamaną, a tymczasem gospodarstwo w niwecz poszło. Chłopca mojego brakło wszędzie, na każdem miejscu, a choć nad siły pracowałem, podźwignąwszy się wreszcie z łóżka, nie szło mi już tak jak dawniej, i wreszcie wszystko przepadło!... Grunt mi za długi zlicytowano, umarły mi obie młodsze córeczki, umarła moja biedna stara ze zgryzoty... a teraz pracuję na kawałek chleba wynajmując się gospodarzom na wsi, a gorzki ten każdy kęs, który w usta kładę, i ciężko na starość pracować jak prosty najemnik!...

Odetchnął z głębi piersi, czapkę na głowę wcisnąwszy. Proste to opowiadanie, miało w sobie coś podniosłego. W kilku słowach starzec odmalował nieszczęście całej rodziny, rozwinął obraz straszliwego zniszczenia, które było dziełem kilku chwil nieledwie.

— Bardzo smutna historja — westchnął Paweł, nadzwyczaj wzruszony.—Myślałem, iż już o pożarze przez lat tyle, ludzie trochę w Werdenfels zapomnieli. Dla was atoli i dla waszych najbliższych, było to w rzeczy samej nadto ciężkie dopuszczenie.

— Dopuszczenie! — wieśniak zaśmiał się z szyderstwem zjadliwem. — Pan Bóg przecież ognia na wieś nie zesłał, my o tem wiemy najlepiej....

Młody człowiek wypatrzył się zdziwiony i rzekł:

— Jakże więc pożar powstał? Co chcecie przez to powiedzieć?

— No, pan o tem wiedzieć nie możesz. Widać zaraz, żeś obcy w tych stronach. Należysz zapewne do straży leśnej. Mieszkasz pan w leśniczówce?

— Nie, mieszkam gdzieindziej — Paweł uśmiechnął się rozweselony pomyłką, którą wywołał prosty jego ubiór strzelecki. Sięgnął do kieszeni, zawahał się jednak, namyśliwszy się inaczej, po chwili zastanowienia. Starzec wprawdzie wyglądał bardzo ubogo, było jednak coś w jego postawie, co wstrzymało rękę Pawła, gdy chciał mu jałmużnę ofiarować. A tak chętnie radby mu był dopomódz. Naraz, strzeliła mu do głowy myśl genjalna.

— Skoro mieszkacie w Werdenfels, mogę wam być wielce pomocnym — rzekł serdecznie, w najlepszej intencji. — Pomówię z zarządcą zamku, aby wam wyznaczył pracę nie tak ciężką, jak na wsi, a więcej przynoszącą. Do ogrodów zamkowych potrzebują codzień ludzi najmować. Powołajcie się tylko na młodszego barona Werdenfels.

Starzec wpatrzył się w niego okiem błędnem i rozwartem szeroko, oparłszy się oburącz na lasce z taką siłą, iż o mało jej w kawałki nie połamał.

— Na młodego barona? — powtórzył. — Więc pan należysz... do tego tam, w Felseneck?!...

— No, tak! — Paweł odrzucił najspokojniej. — Noszę to samo nazwisko. Baron Rajmund jest moim krewnym... ale co wam takiego staruszku?

— Precz! precz! — krzyknął wieśniak dziko i gwał-

townie. — Nie zbliżaj się pan do mnie! Nie chcę! niczego nie przyjmę od waszego całego plemienia, choćbym miał i z głodu zginąć!... Był i ten tam u mnie wtedy, gdy został panem na Werdenfelsie, i dawał mi pieniądze!... Ha, ha! ha! pieniądze!... pod nogi mu je rzuciłem, i gdyby nie był się prędko wyniósł, byłbym go jak psa ubił, wraz z jego przeklętą jałmużną.

Napaść tak nagła i niespodziewana, twarz konwulsyjnie wykrzywiona i usta pieniące się w wściekłym gniewie, wzbudziły w Pawle podejrzenie, iż ma z warjatem do czynienia. Porwał za fuzję instynktowo, przemawiając jednocześnie tonem łagodnej perswazji:

— Nie chciałem wam przecie jałmużny ofiarować, tylko uczciwy, rzetelny zarobek. Zastanówcież się przecie! Nie znamy się nawzajem, i nigdy osobiście krzywdy wam nie wyrządziłem.

— Nazywasz się Werdenfels, to wystarczy! — zgrzytnął wieśniak zębami z wściekłością wzrastającą. — Powiedz pan temu w Felseneck, że stary Eckfried kazał mu się nisko pokłonić, i niech się strzeże, żeby mu tak samo nie spłonął zamek w Werdenfels, jak mnie całe obejście. Życzę mu, żeby z Felseneck ani nosa nie pokazał, bo inaczej... inaczej, mogło by z nim stać się to samo, co się mojemu chłopcu drogiemu przytrafiło!...

Podniósł pięść groźnie zaciśniętą na pożegnanie, i nie oglądając się więcej po za siebie, drapał się jak mógł najprędzej dalej ku chacie córki dogorywającej. Paweł stał w miejscu skamieniały, patrząc za idącym, póki mu nie zniknął z oczu na ścieżki załomie. — Jakkolwiek słowa wieśniaka brzmiały zagadkowo, był w nich sens i ład pewien. Nie był więc zmysłów pozbawiony i wiedział dobrze co mówił. Młody człowiek przypomniał sobie dziwne przyjęcie na probostwie, stryja ostrzeżenie, żeby się wcale we wsi Werdenfels nie pokazywał, i powoli, powoli, rozjaśniło mu się w głowie. Odgadywał myśl tajemną i powód odgrażania się tak straszliwego przeciw Rajmundowi. W tej samej jednak chwili, odrzucił precz od siebie niecne podejrzenie.

— Czy ci ludzie, wszyscy jak są, poszaleli?!... — zawołał sam do siebie, w najwyższym stopniu oburzony. — Rajmund Werdenfels, najbogatszy magnat na całą prowincję, jedyny spadkobierca imienia sławnego już i głośnego podczas Wojen krzyżowych! Co za myśl dzika! Ale temu wszystkiemu winne jego dziwactwa niesłychane i ta manja nieszczęsna, żeby z nocy dzień robić, żeby żyć tak, jak nikt nie żyje, i taką bezsensną oryginalnością chcieć ludziom imponować! Sam mi przecie nadmienił, iż lud ciemny i zabobonny ma go za rodzaj czarownika. Wyobrazili więc sobie, że sztuczką djabelską ogień do wsi sprowadził, a kochany proboszczunio podjudza ich widocznie i utwierdza w tem mniemaniu, zamiast wpłynąć całą siłą na jego pokonanie. Nie! to rzecz niepojęta, żeby coś podobnego działo się w centrum europejskiej cywilizacji, u schyłku wieku dziewiętnastego!

Młody człowiek nie skończył jeszcze wyrzekań na brak oświaty i ślepą wiarę w zabobony u ludu wiejskiego, gdy w niewielkiej odległości, w głębi lasu, spostrzegł jeźdźca, w którym ku wielkiemu swojemu zdziwieniu, poznał barona Rajmunda. Wiedział, iż nader rzadko zamek opuszcza, i oglądał z zachwytem znawcy pełnej krwi arabczyka, ciemnego szpaka, z ogonem i grzywą śnieżnej białości i srebrnego połysku. Cudne to zwierzę wymagało atoli dłoni żelaznej i jeźdźca nieustraszonego, gdyż było niesłychanie ogniste i płochliwe. Czyż owe białe, wychudzone niemal do przeźroczystości ręce Rajmunda, potrafiły by utrzymać na wodzy dzikiego *Emira*?

Ogier jednak zdawał się do swojego pana przyzwyczajony, jakkolwiek rzadko kiedy Rajmund konno wyjeżdżał, gdyż szedł równym kłusem jak dziecko spokojny. Ordynat był sam jeden, bez masztalerza nawet, siedział na siodle z tem samem apatycznem przygnębieniem i pozorną obojętnością, jak w swoim gotyckim fotelu, uzdeczkę zaś trzymał w rękach tak niedbale, jakby prowadził baranka najłagodniejszego. Prześliczny krajobraz zimowy, cały lśniący w blaskach słonecznych, nie zwrócił bynajmniej jego uwagi; był tak w myślach zatopiony, iż dopiero wtedy spostrzegł bratanka, gdy ten stanął przy głowie konia.

— Ah! i ty tutaj Pawle? — skinął mu głową widocznie niezadowolony ze spotkania.

— Słońce mnie wywabiło — Paweł odrzucił — bo też temi dniami siedziałem w zamku jak zaklęty! Nosa wytknąć nie mogłem w tę burzę i śnieżną zawieję! A do tego i ty stałeś się niewidzialnym...

— Byłem chory i jeszcze jestem trochę cierpiący — Rajmund rzekł wymijająco, wstrzymując chód konia, aby Paweł mógł nadążyć.

Słowa te nie zdawały się być prostą wymówką, gdyż Rajmund wyglądał istotnie bardzo źle i zmienił się w tych kilku dniach do niepoznania. Fałdy na czole i zmarszczki przedwczesne u skroni, jeszcze głębiej się zarysowały, oczy czarną obwódką podkrojone były dziwnie znużone i błyszczały ogniem gorączkowym, zdradzając noce bezsenne, usta zaś blade drgały tym samym bolem tajemnym, jak podczas ostatniej z Pawłem rozmowy.

— Byłeś chory?! — zawołał Paweł z gorzkim wyrzutem, przekonywując się, iż nie sama niełaska trzymała go zdala od stryja — i mnie o tem nie raczyłeś uwiadomić? Byłbym przecie...

— Oh! nie było znowu nic tak ważnego! — przerwał mu Rajmund. — Moje dawne zło... ból w głowie nerwowy, który mi nieraz dokucza całemi tygodniami! Trzeba umieć jednak każdy ból... przecierpieć.

Pawła zmroził ton lodowaty, który zdawał się odtrącać energicznie wszelkie pożałowanie. Odezwał się więc po krótkiej chwili milczenia równie zimno i sztywnie:

— Powinienbyś mieć więcej ruchu. Zdrowie twoje musi ucierpieć, skoro nigdy prawie nie odetchniesz świeżem powietrzem.

Rajmund nic nie odpowiedział, jadąc dalej aż na sam brzeg lasu, który z tej strony miał granicę naturalną, jar głęboki. Płynęła tędy młynówka, łącząc się tam dalej w dolinie, z głównem rzeki korytem. Teraz na twardo zamarzła, a kłody drzewa i skał odłamki, po których zwykle z szumem i łoskotem pędziła, grubą warstwą śnieg przykrywał. Po drugiej stronie był rodzaj terasy naturalnej. W lecie stanowiła ona bujne pastwisko, obecnie łąka szmaragdowa skryła się również pod biały całun zimowy. Po za łąką wił się dalej i dalej w dolinę gościniec murowany i wsie okoliczne rozścielały się, jak okiem zasięgnął.

Ordynat wstrzymał konia i spojrzał przed siebie.

— Znasz to miejsce? — spytał Paweł idąc za wzrokiem Rajmunda. — Widok ztamtąd przepyszny na całą okolicę! Odkryłem go niedawno, ale szedłem z tamtej strony. Szkoda, że ztąd na łąkę dostać się nie można.

— Nie można?... dla czego?

— No! trzeba by zleść w dół, następnie drapać się w górę. Piechotą możnaby jeszcze tego od biedy dokazać, ale na koniu!... A może chciałbyś jar przesadzić?...

Pytanie było rzucone żartobliwie, a jednak około ust Pawła wił się uśmiech szyderski, na samo wyobrażenie, jakby stryj wobec takiego faktu wyglądał!

Rajmund widocznie uśmiech ten zauważył. W jednej chwili człowiek chory, znękany, przygarbiony, zmienił się w jeźdźca nieustraszonego. Wyprostował się na siodle i ręką energicznie schwycił za cugle. Z pod powiek spuszczonych strzeliła znowu owa dziwna, niepojęta błyskawica: nie mówiąc ani słowa, spiął konia ostrogami i w okamgnieniu zawiśli nad przepaścią, a dzielny rumak wrył się głęboko przedniemi kopytami w śnieg po drugiej stronie.

Paweł skamieniał z przerażenia w obec skoku tak szalonego, który jednak nie zdawał się być zbyt natężającym, tak dla jeźdźca jak i dla rumaka. *Emir* stał najspokojniej, a baron Rajmund drwiąco zawołał:

— I cóż Pawle? Może zechcesz i ty użyć pięknego widoku?

Młody człowiek usłuchał dobrej rady, nie było to jednak łatwem zadaniem. Wyszedłszy, z razu nie mógł tchu złapać z wielkiego zmęczenia.

— Rajmundzie! — zawołał oburzony — jakżeś mógł wziąć na serjo to, co ja na żart powiedziałem? Było to szaleństwem bez granic! Cóż cię spowodowało...

— Twój uśmiech litościwy! — przerwał mu ostro Rajmund. — Możeś sam nie wiedział, ile w nim było szyderstwa ukrytego. Widzisz, na tym jednym punkcie przynajmniej, mogę tobie dorównać.

— Przewyższyłeś mnię o całe niebo! — Paweł wykrzyknął ze zwykłą otwartością i zapałem. — Dość jestem zarozumiały co do sztuki jeżdżenia na koniu, ale przed tak szerokim jarem i do tego zimową porą, byłbym się nisko ukłonił i... zrejterował! Jeden bo też *Emir* mógł wykonać podobne *Salto mortale*! Dzięki Bogu! że tak się szczęśliwie skończyło! Życie istotnie ryzykowałeś!

Rajmund wzruszył ramionami.

— Byłoby lepiej dla ciebie.

— Jak to rozumiesz?

— Że ty byłbyś najmniej pożałowania godny w tym wypadku!... Czyżeś nigdy nie pomyślał, iż śmierć moja zrobi ciebie panem na Werdenfelsie?

Młody człowiek spłonął rumieńcem. Przed chwilą budował zamki na lodzie, przedstawiając sobie w bujnej fantazji, jakby to inaczej wyglądało i działo się w Werdenfels, gdyby on tam mieszkał i rządził, i to mu obecnie niemal zbrodnią się wydało! chociaż przytem ani przez myśl mu nie przeszło, że wpierw umrzeć musi baron Rajmund. Ordynat spostrzegł ten rumieniec i uśmiechnął się, ale jak gorżko!

— Nie wymawiam ci tego zupełnie — mówił dalej. — Jest to los wszystkich dziedziców, iż spadkobiercy wyglądają chwili ich skonu. Nas zresztą łączy tak dalekie pokrewieństwo! Trochę cierpliwości! Może cel twoich życzeń nie tak oddalony.

Cierpkie słowa zdawały się na to wyrachowane, żeby młodego człowieka dotknąć do żywego. I dopiął niemi Rajmund, co zamierzał, gdyż Paweł rzucił się gwałtownie, i rzekł głosem drżącym z gniewu:

— Rajmundzie! jakże możesz mnię pomawiać o coś podobnego?! Czemże zasłużyłem, żebyś we mnie widział nikczemnika, dybiącego na śmierć swojego dobroczyńcy?! Wiesz najlepiej, i ja wiem także, iż jesteś panem wszechwładnym twoich posiadłości, że niemam do nich prawa najmniejszego, i dotąd wszystko zawdzięczam twojej niezrównanej dobroci. Niestety, wiem i to, iż wyznanie szczere mojej miłości, łaski mnię twojej pozbawiło, jestem atoli gotów znieść choćby najprzykrzejsze tegoż wyznania następstwa.

— A gdybym ci istotnie kazał wybierać — Rajmund wycedził powoli — między spadkiem po mnie, a twoją miłością, czyżbyś się jej nie wyrzekł?

Paweł zbladł, wahając się z odpowiedzią; nie spodziewał się jednak, żeby mu stryj kwestję ową podał, jak mówi Francuz: à *la pointe de l'épée*, tak szorstko! tak bezwzględnie! Otrząsł się prędko z pierwszego wrażenia i odrzekł z męzką energją:

— I wtedy... poszedłbym za głosem serca!

— Doprawdy?! Nie myślałem, że z ciebie taki czuły Trubadur! Oczy, które ci się wydały: „gwiazdami przewodniemi“, jakby ręką przewrócił zrobiły z lekkomyślnika, rozrzutnika, Epikurejczyka, sentymentalnego, rozmarzonego idealistę!

Paweł gniewem uniesiony, nie dostrzegł bolu przenikającego, który brzmiał w tych słowach, on w nich tylko szyderstwa dopatrzył i to mu resztę krwi zimnej, resztę zastanowienia zabrało. Wybuchnął ze zwykłą u niego porywczością niepohamowaną:

— Dowiodę ci może w najbliższej przyszłości, iż potrafię coś więcej, niż oddawać się marzeniom idealnym! Możesz wyboru mojego nie pochwalać, nie

pozwolę jednak drwić bezkarnie z uczuć moich najświętszych! Zrozumiesz to przecie, iż dłużej w Felseneck bawić mi nie wypada i raczysz mnie zwolnić z pobytu tamże!

Nie mógł wymowniej i dobitniej zrzucić z siebie podejrzenia, jakoby wyczekiwał i dybał na spadek po stryju, niż to w obecnej chwili uczynił. Po tak śmiałem wystąpieniu, musiały zerwać się między nimi wszelkie węzły, wszelkie stosunki. Baron Rajmund był atoli we wszystkiem niezgłębiony, nie dający się naprzód obrachować i zamiast unieść się gniewem, wpatrzył się w młodzieńca długo i przenikliwie, a wreszcie odezwał się tonem najspokojniejszym:

— Chciałbyś już teraz przenieść się do Buchdorf? Tego ci nie życzę. Do czerwca dzierżawca ma kontraktowo wymówiony dom mieszkalny i resztę budynków. Jako dziedzic, byłbyś chwilowo w niemiłej kolizji.

— Jako dziedzic?...

— Przecież Buchdorf oddałem ci na własność. Czy sądzisz, że mógłbym słowa nie dotrzymać? Adwokat Freising, akt własności już na twoje imię wygotował, a ja go podpisałem. Zastaniesz dokument u siebie na biurku.

Paweł osłupiał w obec tej nagłej zmiany. Przedtem taka krzycząca niesprawiedliwość, teraz dobroć bez miary. Wprawdzie ton lodowaty, w jakim dar był ofiarowany, dobroć wykluczał niejako.

— Nie pozwolisz mi nawet podziękować za tyle łaski! — rzekł z goryczą. — Ostatnim razem słowa moje gorące tak szorstko odtrąciłeś, iż nie śmiem już ust otworzyć. Rajmundzie!... dla czego pozbawiasz mnię wszelkiej uciechy z daru tak wspaniałego, ofiarując mi go w taki sposób?!

Wymówka bolesna dopięła celu, wyraz cierpki i ponury pozostał wprawdzie w rysach Rajmunda, głos jednak brzmiał łagodniej, gdy teraz odezwał się po chwili milczenia:

— Nie bierz tak do serca słów moich. Być może, iż jestem względem ciebie niesprawiedliwy, ale w tem zmienić się już nie potrafię. Widzisz przynajmniej, iż nie chcę krępować cię żadnym przymusem. Od dzisiaj sam rozporządzasz twoją przyszłością, i nie potrzebujesz w niczem pytać się o moje przyzwolenie.

Podczas tych słów baron Rajmund jechał powoli przez łąkę i właśnie dotarli do brzegu lasu, gdy *Emir* nagle dęba stanął, jakby czemś spłoszony. Paweł nie zauważył, iż tu jeździec zawinił jedynie, ściągając cugle gwałtownie; myślał, iż koń przestraszył się po prostu obcej postaci, która ukazała się właśnie pomiędzy drzewami. W tej samej chwili poznał osobę i krzyknął radośnie wobec najmilszej niespodzianki:

— Pani Hertenstein!

Była to Anna w rzeczy samej. Rzut konia musiał ją przestraszyć, gdyż stała pod drzewem blada śmiertelnie, wpatrując się okiem błędnem i nieruchomem tak w konia jak i jeźdźca, i cofała się przed nimi instynktowo, jakby chciała nazad w lesie zniknąć.

Paweł skoczył do niej.

— Nie lękaj się pani! — żywo zawołał. — Koń spłoszył się na chwilę, ale już znowu zupełnie spokojny.

— O! nie jestem bynajmniej lękliwą.

Dumnie głowę podniosła, usta drgające inaczej jednak świadczyły. Musiała uczuć to, gdyż szybko się z po za drzew wysunęła, stając w pełnym blasku słonecznym. Było coś energicznego, niemal wyzywającego w jej postawie. Pawłowi jednak zdało się, iż jej nigdy równie piękną nie widział. Była wprawdzie i dziś czarno ubrana, paletot jednak futrem obłożony i takiż sam z futra kołpaczek, ślicznie ją stroiły, nie tak bardzo przypominając grubą żałobę. Z pod kołpaczka wymykały się grube warkocze, świecąc tak samo złotawym połyskiem w słońcu zimowem, jak tam pod palącemi promieniami południa.

— Jestem w towarzystwie mojego stryja... Ordynat Werdenfels ma zaszczyt być pani znanym o ile mi się zdaje...— bąkał Paweł pomięszany, czując instynktowo; iż w obec tak naprężonych stosunków, spotkanie to musi być niemiłem dla obojga. Powitanie odpowiedziało też najzupełniej jego oczekiwaniom. Rajmund zdjął kapelusz, dama głową skinęła z jednakową, lodowatą na pozór obojętnością. Następnie pani Hertenstein zwróciła się wyłącznie do Pawła.

— Jakżeś się pan musiał zdziwić, spostrzegłszy mnię tak niespodziewanie?

— W rzeczy samej łaskawa pani, i do tego sama jedna, piechotą, wśród tej leśnej pustyni, śniegiem zasutej.

— Mieliśmy niemiły wypadek... sanki poszły w zatokę i wywróciły się z nami — Anna szybko odrzuciła, jakby tłumacząc się, co ją tu przywiodło. — Konie splątały się i popadały tak nieszczęśliwie, iż nie tylko uprząż na nic, ale jeden koń zdaje się być ciężko skaleczony, gdyż wcale podnieść się nie może. Wiózł mnię mój kuzyn Wilmut i musiał zostać przy koniach, mnie zaś wyprawił do leśniczówki, aby ztamtąd kogoś wezwać z pomocą. Czy nie zmyliłam drogi? Jerzy wskazał mi ją tylko pobieżnie.

— Ścieżka prowadzi wprawdzie do leśniczówki, jest atoli na pół łokcia śniegiem zawalona, i dla pani na piechotę niemożliwa. Wypełnię atoli sam najchętniej pani zlecenie, jeżeliby moja własna pomoc okazała się niedostateczną...

— W żaden sposób wystarczyć nam nie może!... potrzeba nam ludzi z drągami, tudzież sznurów i uprzęży innej. Skoro pan podejmujesz się łaskawie tej misji, wypełń ją, za co będę wdzięczną nieskończenie. Ludziom proszę powiedzieć, żeby szli tą ścieżką prosto przed siebie, a ja wracam do mojego kuzyna.

Jakże chętnie byłby jej Paweł towarzyszył, choćby miał się po raz drugi wystawić na minę impertynencką i lekceważenie proboszcza. Zaufanie atoli pięknej damy natchnęło go tak wielką gorliwością, aby na pomoc

skuteczną czekała jak najkróciej, iż nie wahał się dłużej ani chwili!

— Lecę do leśniczówki! — zapewnił. —Przepraszam cię Rajmundzie, ale chciej mnię wytłumaczyć... Do zobaczenia łaskawa pani!

Skłonił się jej szarmancko, i wkrótce znikł im z oczu, pomiędzy grubemi, niebotycznemi sosnami.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Pożyczana mama.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy.)

WIDMO ZŁOWROGIE.

— Świat zmienił się nie do poznania od czasów mojej młodości, a zmienił o wiele na gorsze! — deklamowała z naciskiem i miną zafrasowaną, nasza dobra znajoma hrabina Laura, przed *auditorjum* złożonem z Muszki, jak zawsze chrapiącej, z papugi w klatce złoconej, z kotki ogromnej, angorowej, mruczącej z zadowoleniem pod pieszczącemi się z nią paluszkami różowemi hrabiny, i z uroczej, młodej szatynki, kołyszącej się niedbale w krześle ruchomem, z ostatnim numerem „*Bluszczu*“ w rączce białej, delikatnej, wąziutkiej, która dowodziła lepiej niż wszystkie pargamina o jej pochodzeniu arystokratycznem.

— Tak! tak niestety! — kończyła hrabina głosem podniesionym. — Dawne tradycje zdeptano! Świat cały idzie na opak, wszystko do góry nogami wywrócone!

Muszka zbudzona ziewnęła wyciągając łapki leniwo, papuga wrzasnęła: „*Bonjour Coco! Du sucre á Coco!*“ — kotka grzbiet podniosła, a piękna szatynka spytała z uśmiechem figlarnym, oderwawszy oczy szafirowe od mód najnowszych, aby niemi spojrzeć znacząco na hrabinę.

— Czemże ten piękny świat zasłużył na tak ostrą naganę i zdanie tak niełaskawe?

Hrabina ominęła zręcznie pytanie wielce drażliwe i nie dając wprost odpowiedzi narzekała dalej:

— Dawniej jeżeli się młodą panienkę wprowadziło na salony, w wyższe sfery towarzyskie, było się zabezpieczoną od wszelkiej mięszaniny. Byłyśmy otoczone kółkiem dobranem, nie tak jak dzisiaj! Nie jest że to oburzającem, spotkać naprzykład jak my wczoraj na balu u księżnej Cecylji, jakiegoś gryzipiórka *ni vu! ni connu!* za pan brat ze wszystkimi hrabiami, ba! nawet z książętami, odgrywającego nieledwie pierwszą rolę w towarzystwie!

— Czy pani myślisz może o profesorze Skólskim — szatynka spytała znowu z pewnym naciskiem — którego przedstawił nam hrabia Wacław na balu?

— Czem popełnił wielką niedorzeczność Wacio poczciwy! — hrabina szorstko odrzuciła. — Dla tego ośmielił się intruz nieznośny oddać nam wizytę zaraz nazajutrz. Szczęście, że nas w domu nie zastał! Taka to dziś młodzież nasza! W bezdennej lekkomyślności nad tem się nie zastanawiają, że jeżeli oni zmuszeni publicznie do szkół uczęszczać, zawierają częstokroć stosunki najniestosowniejsze, na nas cięży obowiązek odgraniczyć się ściśle i uchować towarzystwo od inwazji niebezpiecznej, tak nazwanych żywiołów postępowych.

— Przez miłosierdzie Boże hrabino! salon księżny Cecylji ma pod tym względem reputację ustaloną, iż jest aż nadto dystyngowanym. Pan Skólski jednak jest człowiekiem tak pięknym, tak eleganckim, a tak sławnym ze swoich dzieł historycznych i nadzwyczajnej erudycji...

— Dziecię kochane! — przerwała jej hrabina niecierpliwie. — Czyż ja mu zaprzeczam urody i uczoności?! Mówię tylko, iż ubogi szlachetka, jakiś Monsieur Skólski, za moich czasów nie byłby się ośmielił do takiej z panami prawdziwymi poufałości i nie pchał by się gwałtem w sfery czysto arystokratyczne. Dzisiejsze nieszczęsne ideje postępowe, jeszcze raz powtarzam, ludziom głowy pozawracały. Co do mnie przynajmniej, zostanę dla tych nowatorstw i dla podobnych ichmościów... nieprzystępną!

Hrabianka Ida P., nasza piękna, niebieskooka szatynka, za całą odpowiedź śmiechem wybuchnęła, skoro jednak spostrzegła brwi groźnie ściągnięte u pani Laury, zerwała się z krzesła, a usiadłszy na niskim tabureciku, u jej stóp, słodko przemówiła, tuląc główkę pieszczotliwie do kolan hrabiny.

— Przebacz pani wspaniałomyślnie mój śmiech niewczesny! Tak nawykłam widzieć w tobie ideał dobroci i łagodności, iż mimowolnie wzięłam z komicznej strony mars surowy na czole i sąd tak bardzo ostry i niemiłosierny. Biedny profesor! Czy doprawdy oczy twoje hrabino, widzą w nim jakieś widmo straszliwe? Mnie bo on wydaje się o wiele przyjemniejszym i bardziej dystyngowanym, niż ogół naszej złotej młodzieży.

Pani Laura ciężko westchnęła.

— Widzisz dziecię kochane, natura jest rodzaju żeńskiego, wolno jej zatem miewać dziwne kaprysy. Czasem wyciągnie kogoś z błota i obsypie wszelkiemi możliwemi darami, a częstokroć obejdzie się po macoszemu z tymi, którzy urodzeniem stanęli najwyżej. Póki życia nie zapomnę mojej okropnej pomyłki, gdy młodą mężatką, mąż mnie na dwór cesarski w Wiedniu wprowadził, a ja poprosiłam o filiżankę lodów księcia krwi, wysokiego państwowego dygnitarza, wziąwszy go po prostu za jednego z kamerdynerów, taką miał minę niepozorną! Przyniósł mi najgrzeczniej owe lody nieszczęsne, ale żem się niemi nie otruła i ze wstydu nie spaliła, to cud prawdziwy! Takie jednak figle pani natury, są istotnie rzeczą nader nie miłą i prowadzą tylko do podobnych jak moje *embrouillements*.

— Z których to wypływa — wtrąciła wesoło luba swawolnica — że mamy, ciocie i opiekunki w ogóle, będą zawsze protegowały owych niepokaźnych, ale z ty-

tułem i majątkiem odpowiednim, a córki, siostrzenice i pupilki, ludzi młodych, pięknych i wykształconych, choćby sami sobie wyrobili stanowisko i nie mieli nic więcej prócz pensji profesorskiej.

— Co do twojego, tak gorąco wziętego w obronę profesora... — zaczęła hrabina urywając w pół frazesu, bo właśnie piękny, starożytny zegar, wydzwonił z flegmą naturalną w wieku tak szanownym, godzinę czwartą z południa.

— Na miły Bóg! — chwyciła się za głowę. — Że też mi nigdy dziecię nic nie przypomnisz! Mamy przecież być o czwartej u panny Beland! Dotąd sukni nie przymierzyłaś na bal dzisiejszy!

Gdy panie do karety wsiadały, wychodząc od modniarki, przypadkiem przechodził profesor Skólski tamtędy i grzecznie się ukłonił.

— Znowu ten człowiek! — mruknęła hrabina. — Zjawił się jak na złość, tuż po naszej o nim rozmowie.

W najgorszym humorze, zaledwie nawzajem głową kiwnęła, z miną kwaśną i lodowatą. Hrabianka na to atoli bynajmniej nie zważając, aż za okno karety się wychyliła, witając profesora podaniem rączki drobniutkiej, rzutem oka przelotnym i uśmiechem najprzyjaźniejszym.

Gdy powóz ruszył, przemówiła żartobliwie do hrabiny zasępionej:

— Doprawdy! taka postawa imponująca, takie rysy klasycznie piękne, jakby nie był Skólskim, szaraczkiem z pod skromnej strzechy słomianej, ale jakim przebranym królewiczem!

Hrabianka Ida była ulubienicą pani Laury od lat dziecięcych, gdy nieraz zaspana z łóżeczka drobne rączęta do *toti* Loli wyciągała (bo tak wtedy hrabinę Laurę nazywała) aż do owej chwili, kiedy stryj, brat starszy jej ojca nieboszczyka, oddał sierotę zupełną, przez niego jak własne dziecię ukochaną i wypieszczoną, pod skrzydła opiekuńcze hrabiny, wielkiej i serdecznej przyjaciółki obojga Idy rodziców, zmarłych przedwcześnie. W pół roku niespełna, po próbie niefortunnej z księżniczką Teresą, najlepsza pani Laura znowu została obciążoną panną na wydaniu, bardzo urodziwą, bardzo bogatą, ale trochę samowolną, nawet z odrobiną uporu, z energją więcej męską niż kobiecą, z wykształceniem poważnem, rozwijającem umysł i serce jednocześnie, z główką dość egzaltowaną i pełną, jak to już mogliśmy spostrzedz, poszanowania, prawie uwielbienia, dla ludzi pracy i nauki, którzy własną zasługą, a nie ślepym trafem urodzenia, zdobywają sobie imię, sławę i zaszczytne stanowisko. Szlachetne te porywy i zasady postępowe wpoił bratanicy hrabia Stefan P., człowiek najzacniejszy, żołnierz z roku trzydziestego pierwszego, starzec mimo siedmiu przeszło krzyżyków zdrów i czerstwy na duszy jak i na ciele, rzadki nadzwyczaj egzemplarz między naszą zniewieściałą, zkarłowaciałą arystokracją, unikat w swojej sferze. On to wychował Idę przedewszystkiem na dzielną Polkę, na dziewicę z sercem i głową, na istotę brzydzącą się wszelkim blichtrem światowym, a umiejącą cenić wysoko ludzi rozumnych, choćby się i w chacie wieśniaczej urodzili. Naturze hrabiny miękkiej jak wosk, a giętkiej jak trzcina, którą porusza najlżejszy wiaterek, imponowała energja i stałość zasad Idy, mimo iż nie we wszystkiem się zgadzały. Tym razem bynajmniej się pupilką nie turbowała, boć tu, do wszystkich „wdzięków“ i „dźwięki“ się łączyły. Ida była niezmiernie bogatą, dzięki stryjowi, który jej majątek sierocy niemal potroił pracą nieustanną, a i to, co sam posiadał, ukochanej bratanicy przeznaczał.

Hrabina Laura nie tylko słodko marzyła, iż za pomocą pięknej Idy naprawi sobie reputację swatki, której przykre zajście z Teresą, dotąd za mąż nie wydaną, cios śmiertelny zadało; żywiła nawet błogą nadzieję, że tym razem syna własnego wyswata z panienką, tak pod każdym względem odpowiednią na synowę, tak nawet pożądaną. Wacław wyrażał się o hrabiance pochlebnie, niemal z uwielbieniem, stryj Idy nawzajem cenił i lubił szczerze jej syna, zdawało się zatem hrabinie, iż małżeństwo da się ułożyć jak najłatwiej, byle młodej pary nie spłoszyć zawcześnie. Matce, ma się rozumieć, syn wydawał się tak pięknym i doskonałym, iż przypuścić nie mogła, żeby która na świecie kobieta nie pokochała go nawzajem, przez niego ukochana.

— Wacio jest nią widocznie zajęty — mówiła sobie w duchu hrabina na balu, na który, dzięki krawcowej, strój był na czas gotów. — Wczoraj jeszcze zwracał moją uwagę, jak Ida ma w sobie coś pociągającego, coś zupełnie oryginalnego, o ile przewyższa gruntownem wykształceniem inne panny salonowe. Tylko działajmy ostrożnie, a ptaszek sam wpadnie w sidła. Ida mogłaby co prawda sięgnąć i po mitrę, skoro jednak Wacia pokocha, pójdzie z pewnością za głosem serca. Trochę pali się w tej główce, ale serce u niej najlepsze! dziecię szczere jak złoto! Stryj również nie będzie, mam wszelką nadzieję, przeciwny temu związkowi, byle kunktator Wacio, raz się na krok stanowczy zdecydował, i...

— Czy mogę panią prosić do walca? — przerwał bieg myśli hrabinie głos czysty, melodyjny, który nie mniej wydał jej się sykiem węża złowrogim! I nawet gorzej jeszcze, boć gadzinę wkradającą się do domu, możnaby po prostu za drzwi wyrzucić, a tego nie mogła uczynić z panem Skólskim, który należał do zaproszonych przez balu gospodarzy.

Nadaremnie mama *in partibus*, która w tej chwili uczuła cały ciężar i wielką odpowiedzialność, jaką wzięła na ramiona w obec świata i stryja Idy, daremnie, powtarzamy, dotknęła się lekko pupilki gorsu, niby to coś około berty poprawiając, i oczyma dała do zrozumienia, iż powinna odpowiedzieć jak najzimniej: — „Zmęczonam.. zamówiona...“ — cokolwiek zresztą, byle odmówić natrętowi... Ida czy nie widziała, czy też znaków telegraficznych widzieć nie chciała, dość na tem, że powstała żywo, z uśmiechem roskosznym, główką skinęła potakująco, sygnały zaś alarmujące, tak wymo-

wnie przez hrabinę wydawane, schwyciły w powietrzu oczy inne, czego sobie najmniej życzyła, oczy samego profesora!

Tak! tak! wąż w tym razie byłby o wiele mniej niebezpiecznym! Nie byłaby go dopuściła, aby kręgami zabójczemi otaczał kibić wiotką hrabianki P., najbogatszej i najpiękniejszej panny tego sezonu, temu zaś zuchwałemu intruzowi nie mogła zakazać, żeby nie ujął Idy w silne ramiona, unosząc ją przy dźwiękach walca upajających, z niezwykłą u takiego móla książkowego swobodą, elegancją i wprawą.

— Dlaczegoś Idy do walca nie poprosił?— rzuciła się hrabina niecierpliwie, spostrzegłszy syna nadchodzącego.

— Ależ mamo droga! — wypatrzył się na nią Wacław zdziwiony — przecież ja nigdy w życiu nie tańczę na balach! Kręcić się w kółko po ciasnym salonie, w pocie czoła, wśród kurzu i zaduchy, najczęściej bądź z danserką starej daty, za tłustą lub za chudą, bądź też z podlotkiem, który dopiero skrzydełek próbuje i niema o tańcu wyobrażenia, kłaniam uniżenie! Rozumiem naszego krakowiaka na szerokim trawniku, wśród lip lub kasztanów szumiących, albo taką szaloną włoską Tarantelę nad brzegiem morza, gdzie wszystko upaja i krew rozpłomienia: niebo szafirowe, woń gajów pomarańczowych, szmer fali pod stopy się kładącej...

— Pleciesz sam nie wiesz co! — matka mu gniewnie przerwała. — Powinienbyś znać się na rzeczy, i uratować Idę od takiego dansera niestosownego, tem bardziej, iż to ostatni *tour* walca przed kolacją. Gotów w swojej bezczelności ofiarować jej ramię aż do sali jadalnej!

— I ręczę, że przy kolacji nikt się nie będzie bawił przyjemniej, niż twoja piękna pupilka mateczko! Jaś Skólski, mimo wiedzy wszechstronnej, nie jest bynajmniej pedantem. Roskosz prawdziwa z nim chwilkę pogawędzić!

— Może być mądry jak sam król Salamon! — wybuchnęła hrabina w najwyższem oburzeniu — co jednak nie przeszkadza, że ojciec jego był prostym bakałarzem, a dziad zapewne za pługiem chodził, nie umiejąc jeszcze czytać, a tem mniej pisać! Taki szaraczek nie powinien mięszać się pomiędzy nas, nie powinien wyciągać dłoni zuchwałej i zapraszać do tańca hrabianki P., której atentaci walczyli już jako rycerze przy boku Łokietka pod Płowcami, i z Jagiełłą pod Grunwaldem!

Wacław w głos się roześmiał.

— Strzeż się mateczko kochana! Jaś tak jest biegłym historykiem, tak obeznanym z naszemi szczególniej dziejami, iż gotów cię przekonać, że i Skólscy tam już wtedy się bili, mimo, że później zeszli na oraczów i bakałarzy, a może nawet wyższą rangę wojskową piastowali od hrabiów P.! Że o hrabiach galicyjskich jeszcze wtedy słychać nie było, to i ja ci mogę zaręczyć!

Matka z gniewem odwróciła się od niego, Wacław nie dał jednak za wygranę, czule jej ręce ucałował, szepcąc do ucha słowa łagodnej perswazji i prośby, żeby się raczyła uspokoić, i tak bez powodu krwi sobie nie psuła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

L'OMBRA.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy).

Nadszedł nareszcie dzień przedstawienia.

Na dziedzińcu zamkowym powozy postępowały zwolna w zwartym szeregu, jakby istotnie zajeżdżały przed salę teatralną jakiej wielkiej stolicy. Wkrótce miejsce dla gości przeznaczone napełniło się po brzegi publicznością wyborową.

Willjam nie mięszał się do niczego. Bojąc się jego złośliwości i zmysłu krytycznego, wykluczono go raz na zawsze z prób wszelakich. Gdy już wszystkich gości wprowadził, pomagając dzielnie matce w robieniu honorów, usiadł zmęczony w kąciku najciemniejszym w głębi sali. Nie wierzył bynajmniej, sceptyk niegodziwy! w talenta tych aktorów-amatorów, naprzód będąc pewnym nudów i rozczarowania.

Po trzeciem zadzwonieniu sakramentalnem, kortyna podniosła się gładko i bez popasania w drodze. Młodziutka miss Mac Olday wychodziła na pierwszy ogień. Przedstawiała francuską *gryzetkę*, figlarną i gadatliwą; była wprawdzie trochę niezgrabną, zażenowaną, trzepała rolę jak lekcję dobrze wyuczoną, ale za to taką ładniutką, że publiczność, zachwycona żywemi oczkami i buzią świeżą jak malina, nie szczędziła hucznych oklasków. *Primo amoroso* zaplątał się w kobierzec przy samem wejściu i o mało stoliczka z lampą nie wywrócił. Był atoli chłopcem wcale przystojnym, zwinnym, doskonale zbudowanym, rolę zresztą umiał dobrze na pamięć... czegoż można było więcej wymagać od margrabiego de Lincoln?... Margrabiowie przecie nie potrzebują mieć talentu pierwszego lepszego komedjanta!... Więc i jemu oklasków nie żałowano!... Któż to atoli wchodzi teraz z gracją niewymuszoną, z zupełną w ruchach swobodą, kto gra z werwą niezrównaną, skanduje wiersze umiejętnie, harmonijnie, a tak wyraźnie, że nikt jednego słowa nie traci? Czyż to jest istotnie lady Stève? Wkrótce ściąga na siebie ogólną uwagę, ją tylko widzą, jej słuchają! W scenie o zakroju dramatycznym, szlachetna lady łzy wyciska z ócz całego swojego *auditorium*, dreszcz nerwowy wstrząsa wszystkimi. Mimo iż etykieta salonowa wyklucza zbytnie uniesienia i hałaśliwe owacje, oklaskom końca nie ma tym razem, Willjam zaś czuje się do głębi wzruszony. Mowa, giesta, chód i cały układ, jakże mu przypominają czarodziejkę, której dotąd nie zdołał z pamięci wyrugować. Gdyby tylko zmienić blond włosy i płeć liljową... zobaczyłby *L'Ombrę* przed sobą. Nieruchomy, nie może ócz oderwać od zjawiska cudownego, i po raz pierwszy lady Stève odszukuje w nim ów wzrok namiętny, rozkochany, spektatora z *La scala* i z sali opery w Wiedniu.

Zaledwie spuszczono kortynę, książe ulotnił się z sali, nie mogąc na razie opanować wzburzenia gwałtownego. Jakaż rószczka czarodziejska obudziła w nim

tak nagle wspomnienia chwil roskosznych, które starał się wszelkiemi siłami wymazać z serca i pamięci?

— Jestem iście szalony! — łajał sam siebie, przechadzając się samotny po ciemnej parku alei. — Jest narzeczoną, i więcej jej nie ujrzę!... Któż wie zresztą, czym jej istotnie zbytnio w bujnej fantazji nie upoetyzował? Czy nie jest ona kłamstwa wcieleniem, jak cały blichtr fałszywy, który nam oczy mami na scenie? Może istotnie, jak mówi doświadczeńszy odemnie hrabia, ja tylko tchnąłem w nią piękna i dobra ideał, podziwiam i uwielbiam ją jak bóstwo, gdy ona jest sobie istotą ludzką, pospolitą, i skłonną do wszelkich ułomności!... Trzeba za jaką bądź cenę, zapomnieć o nimfie niebezpiecznej!...

Gdy chłód nocny dostatecznie krew wzburzoną uspokoił i rozwiał sny i widziadła ułudne, wrócił do salonu, gdzie już spostrzeżono jego długą nieobecność. Na wstępie zaraz spotkał się z Erminji spojrzeniem, która wdzięcznym uśmiechem zdawała się wołać go do boku swojego.

— Jesteś nakoniec! — wykrzyknął hr. de Bocé. — Zapowiadam ci, że przychodzisz za późno! Litania pochwał i uwielbienia dla naszej lady wyczerpana, zamknięta! Co do mnie, nie wiem doprawdy, z jaką boginią mam ją porównywać! Błogosławię niebo włoskie, które nie tylko słońca ognistemi promieniami złoci cytryny i pomarańcze, ale i dzieciom południa udziela boską iskrę genjuszu, znaczy ich czoła...

— Przestań na miły Bóg hrabio kochany! — wpadła w słowo Erminja. — Widzisz, że twoje pochwały hyperboliczne, przerażają mojego kuzyna. Wszak ust wcale nie otwiera!

Oczy Willjama dostatecznie przemówiły do młodej kobiety, bo aż zarumieniła się z wielkiej radości.

— I cóż? — wzruszył hrabia ramionami litościwie. — Czy istotnie niemym pozostaniesz? Czyż tylko spiew przy akompaniamencie całej orkiestry jest wstanie zapał w tobie mości książe obudzić?

— Nie umiem prawić komplimentów — Willjam wpoił wzrok ognisty w Erminję — i nie lubię stawać w szranki z tłumem ludzi pospolitych... Powiem ci tylko kuzynko, żeś mię zdziwiła potęgą swojego talentu, i przejęła do głębi. Czyś grywała już kiedy w jakiej roli?

— Któraż z nas — usmiechnęła się figlarnie Erminja — mogłaby powiedzieć z ręką na sercu, że nigdy w życiu i z nikim nie grała komedji?

— Ale na scenie w teatrach amatorskich?

— Jest to pierwszy występ lady Stève!...

— W takim razie jakaś hojna czarodziejka wrzuciła ci do kolebki obok innych mnogich darów, iskrę nieśmiertelną, która stwarza wielkich artystów. Grałaś kuzynko tak naturalnie, z taką prawdą żywotną, iż wszystko na chwilę zniknęło mi z oczu, i zdawało mi się, żem sam jeden z tobą, nie w sali, ale w owym lasku, który scena przedstawiała.

— Tak to artystki zwykle głowy nam zawracają! — westchnął hrabia miłosiernie. — Gdy mówią o miłości, zdaje nam się, że żadna na świecie kobieta tak jej pojąć nie zdoła, jak one!

— Rząd kinkiet oddziela je istotnie od świata rzeczywistego, i pozwala niejako wcielić się w postać, którą mają przedstawiać — zauważyła Erminja.

— Dla widza -- odezwał się Willjam — jest znowu w tym blasku coś magicznego. Niby świetlaną aureolą jaśnieją w nim czoła artystek, a piękność ich potęguje się i olśniewa.

— Czyniąc z tych czarodziejek, z tych gwiazd nocy — Erminja główką potrząsła — rywalki nader niebezpieczne, prawie nie do zwalczenia, dla nas biednych kobiet salonowych!

— Ty lady, nie możesz znaleźć rywalki, ani w talencie, ani w piękności! — zawołał z zapałem młodzieńczym Francuz szarmancki.

— Nie podzielasz tego zdania, nieprawdaż kuzynku?

— Co do piękności, zupełnie zgadzam się z hrabią, ale proza nawet i najpiękniej wypowiedziana, wiersze najcudowniej oddeklamowane...

— Nie dadzą się ze spiewem porównać — przerwała Willjamowi lady Stève.

— Z ust mi wyjęłaś to zdanie droga kuzyneczko! — wyznał szczerze. — Nic tak, jak spiew, nie trafia, nie przenika serc naszych!

Zmięszany pochwałą, oddaną mimowolnie talentowi, którego nie posiadała mówiąca z nim osoba, poprawił się dodając szybko:

— Sztuczny zapał atoli, wywołany tonów urokiem, ulatuje razem z ich brzmieniem. Uczucie najtrwalsze budzi w nas jedynie rozum, połączony z pięknością ciała, i serca anielską dobrocią.

— Czy myśli tak istotnie? — spytała się w duchu Erminja — i jeżeli ja cierpię, że mi spiewać nie wolno, czy nie cierpi on jeszcze więcej, że mnie słyszeć nie może?

X.

Od tego wieczoru Willjam zajmował się coraz widoczniej piękną kuzynką, był zazdrośnym o każdy jej uśmiech, burzył się i niecierpliwił, skoro z innymi rozmawiała. Lubił przechadzać się z nią sam na sam w cienistych parku szpalerach, wzrok jego stawał się coraz wymowniejszym i czulszym, głos, którym do niej przemawiał, drżał nieraz wzruszeniem wewnętrznem. Gdy konno wyjeżdżali, a wiatr unosił w stronę Willjama welon zielony, twarz Erminji odkrywający, przytrzymywał go na chwilę ustami. Z jakąż troskliwością oglądał teraz sam siodło i popręgi, gdy raz, przez niedbalstwo masztalerza, Erminja zaledwie uniknęła, dzięki swojej zręczności i przytomności umysłu, wielkiego niebezpieczeństwa. W salonie zapominał o powinności gospodarza, i na krok młodej kobiety nie odstępował, bądź słuchając jej, gdy grała, bądź też prowadząc z nią półgłosem miłą, serdeczną pogadankę. Nieraz wymknęło mu się słówko czulsze, młode miss i lady prześlado-

wały go, że jest tak roztargniony, z czego on śmiał się tylko wesoło, bynajmniej przeciw temu nie protestując, jednem słowem: cały był jakby przeobrażony, co matkę uszczęśliwiało, a hrabia de Bocé tylko ręce zacierał, powtarzając księżnie do ucha raz po raz:

— Ptaszek złapany i już go z klatki nie puścimy!

Dotąd jednak ani jednem słowem Willjam nie zdradził swojej miłości. Gdy byli sami, ona grająca, on wsparty o fortepian i ku niej nachylony, jakże jej serce biło gwałtownie, z jakąż niecierpliwością gorączkową oczekiwała owego słodkiego: „kocham cię, bądź moją!“ Dlaczegoż nie oderwie jej rąk od klawiszów, nie przyciśnie do piersi, na której tak by spocząć chciała?

Matka śledziła krok za krokien postępy najdroższego jedynaka w uczuciu, które jej obiecywało taką najmilszą synowę. Radaby była zakończyć sezon w zamku Stevèville, aby, skoro goście się rozjadą, syn mógł z nią pomówić sam na sam. Nie wątpiła ani chwili, że wyzna jej miłość dla lady Stève, i chęć oświadczenia się o jej rękę. Na pożegnanie, jak jest zresztą w zwyczaju, umyśliła bal wspaniały urządzić.

Salony w wieczór balowy pływały w morzu światła jarzącego, wszędzie kwiaty woń rozlewały upajającą, orkiestra dobrana, bufety zastawione po królewsku, wszystko odpowiadało tradycyjnej gościnności i przepychowi, z czego słynęli od wieków właściciele Stevèville.

Erminja prześlicznie wyglądała. Gaza w kolorze bzu liljowego, z srebrnym haftem, kolor tak stosowny dla blondynki, była cała zasiana bukietami z fiołków parmeńskich i białych kamelji. Główkę ubrała zupełnie tak, jak *L'Ombra* w akcie drugim, gdy miłość swoją wyznaje przed towarzyszkami, w rękach trzymała bukiet świeży z kamelji białych i fiołków, taki sam, jaki Willjam rzucał zawsze pod nogi brunetce tajemniczej. Młodość lubi walki, i wyzywa częstokroć nierozważnie niebezpieczeństwo. Zeszła do salonu głównego, zarumieniona, szczęśliwa, promieniejąca. Książe zajęty w tej chwili gości wprowadzaniem, nie mógł pospieszyć na powitanie kuzynki, wzrok jego atoli spocząwszy na niej z zachwytem, choć tylko przelotnie, powiedział najwyraźniej, że jest tego wieczora cudownie piękną! Gdy mógł się do niej zbliżyć, muzyka właśnie walca pierwszego zaintonowała. Nie pytając wcale, czy kto inny o tego tańca nie prosił, porwał ją jak swoją w objęcie, i rzucił się z nią w wir szalony.

Była to dla Erminji roskosz nadziemska, czuć się unoszoną ramieniem ukochanego w takt muzyki doskonałej, zgubić się z nim niejako w tłumie, słyszeć tętno przyspieszone serca Willjama. Dopiero gdy jej już zupełnie tchu zabrakło, szepnęła głosem omdlewającym:

— Dosyć!

Usiadł obok niej, a gdy cokolwiek odetchnęła:

— Przynieś mi kuzynku wachlarz i bukiet — poprosiła. — Leżą razem na kominku.

Willjam podał jej wachlarz, a bukiet w ręku zatrzymał, przypatrując mu się ciekawie.

— Czy lubisz tak wyłącznie te kwiaty kuzyneczko? — zapytał.

— Lubię namiętnie! Z Włoch wspomnienie...

— Wspomnienie... z Włoch?... — Willjam powtórzył zadumany. — Rzecz dziwna!

Wszak to te same kwiaty, które zawsze dla *L'Ombry* przygotowywał!

— Czy wiesz kuzynku, że te kwiaty znaczą u nas tyle, co talent i piękność?... Nie są tak pełne i wonne fiołki u was w cieplarniach, jak u nas na świeżem powietrzu... ja bo zresztą pokochałam teraz nad wszystkie inne kwiaty... różę angielską!

Słowa ostatnie wymówiła tak słodko, z takim uśmiechem roskosznym, że Willjam nie mógł się wstrzymać, żeby nie uścisnąć jej rączki namiętnie, i rzekł z cicha:

— Tak, tak, droga kuzynko, zapomnijmy o Włoszech, zapomnijmy również o tych kwiatach, a pamiętajmy tylko... o róży angielskiej!

Erminja zaczęła bukiet obrywać, rozsiewając w koło siebie listki twarde i śnieżnej białości.

— To jak gdybym kwiatami mogiłę świeżą stroiła — uśmiechnęła się radośnie.

— Pokój wieczny umarłym! Myślmy najdroższa o życiu, które zaczyna się dla nas, opromienione szczęściem bez chmurki!

Nigdy jeszcze w ten sposób do niej nie przemówił. Było to niemal wyznanie miłości. Chciała mu właśnie dać stosowną odpowiedź, gdy nieznośni natręci przyszli upomnieć się o taniec im przyobiecany. Książe przytrzymał ją chwilkę w okna framudze, zanim zaczęto kadryla, i szepnął głosem drżącym:

— Chciałbym cię prosić jutro najdroższa o chwilkę rozmowy. Jeżeli pragnę widzieć się z tobą sam na sam, to tylko dlatego, żeby wyspowiadać się szczerze przed tobą, jakie koleje przeszedłem. Gdy wszystko usłyszysz, zawyrokujesz sama, czy serce moje godne twojej wzajemności. Tu w zamku nie mielibyśmy chwili spokojnej! Może raczysz przyjść do pawilonu chińskiego nad wodą?...

— Przyjdę! — odrzuciła rezolutnie.

— Jutro o czwartej popołudniu, zgoda?

Skinęła główką potwierdzająco.

Skoro zdołała się uwolnić od tłumu młodzieży nadskakującej, uciekła do cieplarni, aby odetchnąć w chłódku i nacieszyć się szczęściem swojem w ducha skupieniu. A więc pokochał ją Willjam! Gdy niegdyś oddawał jej serce i rękę, znał ją tylko pod maską zwodniczą, teraz atoli wybrał ją na prawdę pod własną postacią, i ona też niczego przed nim nie zatai...

— Tak — szepnęła — wyznam mu całą prawdę, nie chcę, nie mogę dalej go oszukiwać — i znowu jej biedne serduszko ścisnęło się trwogą śmiertelną. — Ale skoro mnie kocha... — westchnęła biedaczka.

Zapadłszy w głęboką zadumę, zapomniała o balu, o całej rzeczywistości, i drgnęła dopiero nerwowo, gdy ją ze snu obudził głos hrabiego de Bocé, który wykrzyknął wesoło, tuż nad jej uchem:

— Znajduję cię wreszcie droga lady! Szukam jak szpilki od godziny!... Mam sobie poleconą missję dyplomatyczną... może złą chwilę wybieram... ale ponieważ nie idzie mi tak koniecznie... o wygranie sprawy, a z drugiej strony chcę się uiścić ze słowa danego, korzystam z tego krótkiego sam na sam.

— Do czegoż zmierza tyrada tak długa o nastroju patetycznym? — uśmiechnęła się Erminja figlarnie.

— Do twojej ręki piękna lady!... O! nie lękaj się, żebym chciał sam o ten skarb uderzyć, ale znam pewnego dżentelmena, który serce wraz z głową zaprzepaścił, i wymógł na mnie przyrzeczenie, że za nim przemówię.

Erminja spłonęła szkarłatem na myśl, że może to Willjam przysyła do niej swata, w postaci starego, wiernego przyjaciela.

— O moją więc rękę idzie drogi hrabio?... I któż to jej żąda?

— Lord Arundel... wielkie imię! wielki majątek! wielkie stanowisko! wielka postawa! wielka duma i miłość wielka a płomienna! Wielkości zaś wszystkie składa w pokorze u małych stopek waszej lordowskiej miłości!

— Ha! ha! ha! — wybuchnęła śmiechem Erminja na te oryginalne oświadczyny. — Wylej-że hrabio kochany na te płomienie, choćby całą wodę z wielkiej Tamizy, i racz mu to szaleństwo wyperswadować, nie zostawiając ani promyka nadziei!

— Nie omieszkam! nie omieszkam! Ha! to już nie z mojej winy! Wszak nie zapomniałem ani o jednym wysokim tytule do łask twoich piękna lady, które zdobią drągowatą figurę, tego nadobnego dżentelmena! — pan de Bocé zawtórował Erminji śmiechem serdecznym. — Tem mniej smucę się tą rekuzą, iż serce moje przemawia za innym w skrytości... za kim? zachowam dla siebie, skoro piękna damo nie masz zaufania do twojego służki najwierniejszego!... Ale widzę, jak księżna ruchem rozpaczliwym przyzywa ciebie na pomoc lady kochana; racz przyjąć moje ramię. Nie chcesz więc stanowczo wielkości lorda Arundel? i jego ambasador nie zaślubi cię przez prokurację?

Lady Stève już tylko skinieniem głowy odpowiedziała i do końca balu nie odeszła od boku matki Willjama. Ucieszyła się szczerze, gdy ostatnie smyczka pociągnienie uwolniło ją od przymusu nieznośnego, i gdy mogła zamknąć się w sypialni z tłumem myśli i uczuć, które mózg i serce jej rozpierały.

Nazajutrz uśmiechnęła się błogo, do dnia tak niecierpliwie oczekiwanego, który miał ziścić jej najśmielsze o szczęściu marzenia. Ustaną wszelkie wątpliwości, walki, zwątpienia, ustąpi na zawsze rywalka niebezpieczna! Dziś, skoro usłyszy wyznanie Willjama, i ona mu opowie, jak od pierwszej chwili biło jej serce na jego widok, jak w swojej nieświadomości, czem jest świat wyższy i jego wymagania, z dobroci, aby nie martwić mistrza ukochanego, i dopomódz bankrutującemu ojcu licznej rodziny, pod maską dla niej samej nie przeniknioną, spiewała w Medjolanie, a upojona, oczarowana rolą Irmy, dała się Bariniemu skusić powtórnie. Powie, że li dla niego do Anglji przybyła, powie, jaka trwoga śmiertelna nią miotała, jaką zazdrością szaloną serce jej pałało do tego „Ja“ drugiego, a zakończy tem solennem zapewnieniem:

— Dusza, głos i talent *L'Ombry*, do ciebie należą najukochańszy wraz z sercem lady Stève!

Pierwszem staraniem Erminji było, z łóżka się podniósłszy, przekonać się, czy słońce tak jasno świeci na niebie, jak promienistemi są jej myśli i całe usposobienie... Pragnęła z duszy pięknej pogody. Goście w Stèveville chcieli jeszcze przed odjazdem zwidzieć pobliskie ruiny jakiegoś klasztoru. Ona wymówi się utrudzeniem po balu wczorajszym, i to jej ułatwi wymknięcie się na schadzkę do pawilonu. Na nieszczęście niebo było szare, a chmury ciężkie, nieruchome, groziły co chwila ulewą.

— Mniejsza o to! — machnęła ręką młoda kobieta lekceważąco. — Pójdę, choćby śluzy niebieskie miały się przemienić w kataraktę Niagary!

-- Jakaś ty śliczna i świeża! — uściskała ją księżna po macierzyńsku, gdy zeszła powiedzieć dzieńdobry. — Nie znać balu na tobie!

Wziąwszy się pod ramię, przeszły do sali jadalnej. Na progu przywitał je Willjam, a ściskając dłoń Erminji, szepnął nieznacznie:

— Jakże godziny będą się dziś dla mnie wlokły leniwo, zanim czwarta nadejdzie!

Uśmiechał się jak człowiek zupełnie szczęśliwy. Wszyscy zresztą byli weseli i ożywieni. Chórem wychwalali fetę wczorajszą, każdy sobie coś wyłącznie przyjemnego przypominał i o czemś opowiadał. Zaczęto wreszcie mówić o przejażdżce projektowanej.

— Ruiny mają być imponujące?

— Tak, są istotnie ciekawe nadzwyczaj!

— Wszak to niedaleko? Jedziesz z nami lady Stève?

— Jestem nadto zmęczoną i mam nieznośny ból głowy — odpowiedziała zapytana. — Proszę na mnie atoli bynajmniej się nie oglądać!

— Ależ za chwilę deszcz lunie jak z cebra! — zaprotestował hr. de Bocé.

— Oh! mgła i nic więcej! — zawołano.

— Jedźmy tylko, choćby przyszło wrócić się z drogi.

— A nuż istotnie deszcz zacznie padać?

— Nie potrwa długo; wiatr chmury rozpędza.

— Lepiej zostańmy i trochę pomuzykujmy.

— To! to! — potwierdziły lady Beaufort — spiewajmy duety z *Purytanów*.

— Aby zrobić *L'Ombrze* konkurencję! — rzucił od niechcenia z uśmiechem sarkastycznym hrabia de Bocé.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.